

Równość była dla nas czymś oczywistym

27 września 2022

Mieszkałam na podlaskiej wsi, kilka kilometrów przed Bugiem. Za rzeką ziemie były ubogie, piaszczyste. Mówiło się o tych terenach: łaski, piaski i karaski. Gospodarstwa karłowate, biedne. Na terenach przed bużańskimi ziemią była dobra, gospodarstwa też były małe. Moja rodzina miała pięć hektarów ziemi rolnej II i III klasy i pięć hektarów łąk i lasów i byliśmy uważani za średniorolnych. Tylko kilku rolników miało około dwudziestu hektarów. W czasach stalinizmu to byli kułacy. Moi kuzyni mieli właśnie 20 hektarów ziemi. Stale słyszeli, że są kułakami. Kiedyś wracali z pola ze swoją kilkuletnią córeczką. Krakały wrony. Ona odebrała to jako „kułakułakuła”. Rozżalona rzuciła w ich stronę kamieniem i powiedziała: „nawet wrony krzyczą kułak na nas”.



W latach 1950. były obowiązkowe dostawy dla państwa. Pamiętam, jak rolnicy próbowali się wymigać od tych dostaw i jakie były z tym związane perypetie. To chyba był rok 1951. Ogłoszono, że przyjeżdża komisja partyjno-rolna z powiatu, aby ustalać wysokość dostaw obowiązkowych zboża i mięsa od poszczególnych

gospodarstw. Liczyła się nie tylko powierzchnia gospodarstwa ale i ilość dobytku.

Moja mama wpadła na pomysł, aby ukryć dwie krowy i tylko jedną zaprezentować komisji. W domu była babcia, mama, najstarszy brat i dwie moje starsze siostry, więc ja nie byłam już wciągana w prace gospodarskie. Uczyłam się, czytałam sobie książeczki, bawiłam się z kotkami i pieskiem. Ale w tym dniu, nie pamiętam dlaczego, na mnie wypadło, że właśnie ja mam z dwiema krowami iść na łąkę. Szłam i płakałam, bo bałam się, że nie trafię, ale nie było takiego problemu, bo krowy mnie same zaprowadziły.

Powinnam je była spętać, ale zapomniałam. Położyłam się na trawie, zaczęłam czytać książeczki i po pewnym czasie zasnęłam. Krowy najadły się i poszły na inne łąki. Rozpoznał je sąsiad i postanowił przyprowadzić do domu. Wkroczył z nimi na podwórko właśnie w momencie inspekcji. Nie tylko wydało się, że mamy trzy krowy, ale mama została posądzona, że zatrudnia też parobka, czyli „podwójny krwio pijca”. Obowiązkowe dostawy zostały nam zwiększone.

Dla dostaw obowiązkowych były ustalone terminy. Niektórzy rolnicy ich nie dotrzymywali. Władze uznały, że trzeba wobec miasta okazać postawę obywatelską i nie tylko zrealizować dostawy, ale zademonstrować, że rolnicy wypełniają ten obowiązek ochoczo, z radością. I wymyślono, że najlepiej będzie uformować ze spóźniałskich orszaków. W wyznaczonym dniu przez wieś do gminy przejechały furmanki ze zbożem a na czele jechał wóz konny z harmonistą. Grajek wygrywał różne skoczne melodie a przy drodze zebrali się mieszkańcy i turlali się ze śmiechu. W następnym roku każdy starał się wywiązać z dostaw w terminie, żeby nie być dla wszystkich pośmiewiskiem.

Jeszcze tylko dodam, że kłamię dzisiaj ci ludowcy, którzy mówią, że wieś była zmuszona dostarczać miastu w ramach obowiązkowych dostaw wyznaczone produkty za darmo. Rolnicy otrzymywali zapłatę tylko, że były to ceny stałe, ustalone

przez państwo. One były niższe od cen, jakie można było uzyskać na targu. tzn. cen spekulacyjnych (tak je oficjalnie określano). Dzisiaj niektórzy rolnicy pewnie cieszyliby się, że mają taki pewny rynek zbytu. Nawet kilka lat temu „Samoobrona” głosiła, że te ceny były wyższe, niż uzyskiwane za jej czasów na wolnym rynku.

Co rok listonosz dostarczał każdej rodzinie kalendarz rolniczy. To była taka wielka „cegła”, pachnąca jeszcze farbą drukarską. W latach stalinizmu na okładce była zawsze taka bardzo roześmiana traktorzystka radziecka. Moja babcia brała ten kalendarz, dreptała natychmiast do kuchni po nóż, siadała i wyskrobywała jej ten uśmiech. Mówiła przy tym „ona nie ma tam tak z czego się śmiać”.

Na akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej w powiecie Sokołów Podlaski siedziało na podium bardzo ważne grono wojewódzkich i powiatowych dygnitarzy partyjnych. Jeden z nowo przyjętych członków partii ze wsi chciał podkreślić swój entuzjazm dla „ojca narodu”, wskoczył na mównicę i wrzasnął „Stalin to wielki EUGENIUSZ!”

Moi sąsiedzi chcieli trochę zarobić i zarżnęli swoje dwie świnki, żeby „po cichu” sprzedać mięso. Ubój na własne potrzeby był dozwolony kiedy gospodarz wywiązał się z obowiązkowych dostaw dla państwa i uzyskał w gminie stosowne zaświadczenie.

Oni tych formalności nie dopełnili. Nie wiadomo, czy milicjant trafił się we wsi akurat w tym czasie przypadkiem, czy ktoś doniósł; w każdym razie przyszedł do tych rolników i zapytał o pozwolenie na ubój. Gospodarz zaczął tłumaczyć, że świnka złamała nogę i dlatego był zmuszony ją zarżnąć i że mięso będzie wykorzystane we własnym zakresie.

Milicjant był spostrzegawczy, przyjrzał się i zapytał: „Obywatelu, wasza świnka miała dwa ogony?” I zabrał go do aresztu. Mnie mama wysłała do tych sąsiadów, żebym też kupiła

mięso i akurat kiedy byłam, przyszła sąsiadka i zapytała: „Józefowo, a gdzie to waszego milicjant zabrał?” Józefowa warknęła: „Do pudła”. „A czemu?”. „Żeby się nie zniszczył”.

W tym czasie kilkunastu mężczyzn ze wsi siedziało w więzieniach; za posiadanie broni i udział w napadach i rabunkach, za podejrzenie udziału w bandach leśnych. Wtedy za takie przestępstwa były długoletnie wyroki, ale już w 1956 roku nastąpiła odwilż i większość więźniów politycznych wyszła na wolność. Nauczyciel z Seroczyna, który był moim wychowawcą w drugiej klasie, został w 1949 roku aresztowany za udział w jakimś napadzie i wrócił do szkoły po dwóch latach. We wrześniu 1950 roku został zamordowany kolejny, czwarty już naczelnik gminy Sterdyń. Zbrodni dokonali bandyci zza Bugu. Wojsko ich ścigało. Kiedyś w nocy przyszło do naszego domu sześciu żołnierzy radzieckich i poprosili, aby mama znalazła dla nich jakieś bezpieczne miejsce, żeby mogli się kilka godzin przespać. Było już późno. Mama przyniosła im słomę i kilka godzin spali na niej na podłodze a ich dowódca chodził koło domu. O świcie wyszli, nie powiedzieli dokąd. Delegacja uczniów i nauczycieli z Łazowa uczestniczyła w uroczystym pogrzebie naczelnika gminy. W tym samym roku w zimie w rzeczce Struga znaleziono zamrożonego noworodka. Długo trwało oczekiwanie na pogotowie lekarskie, które musiało przyjechać z Siedlec. Przez cały ten czas kilkoro uczniów i nauczycieli pełniło wartę przy zwłokach dziecka.

Moja mama była w 1950 roku sołtysem wsi Łazów. Wtedy to się nazywało „Przewodnicząca Gromadzkiej Rady Narodowej”. Była krótko, tylko jeden rok, bo spóźniła się z dostawami obowiązkowymi dla państwa i musiała zrezygnować z tego stanowiska. Pamiętam niektóre zdarzenia, związane z działaniami mamy, jako gospodarza wsi. We wsi wybuchł pożar, paliły się czworaki (podobno jeden z mieszkańców celowo je podpalił). To były baraki, wybudowane przed wojną przez dziedzica dla pracowników folwarcznych. Schemat mieszkań był taki: wchodziło się do obszernej sieni, naprzeciwko drzwi

wejściowych były dwie oddzielne izby i dwie izby po bokach. W każdej izbie mieściła się jedna rodzina a więc cztery łącznie; stąd czworaki. Pożar wybuchł w nocy, ludzie się uratowali, ale spaliło się im wszystko, łącznie z inwentarzem. Jeszcze przedwojenny zwyczaj nakazywał, aby wieś przyjęła pogorzelców. Niektórzy z nich sami znaleźli rodziny, do których się wprowadzili a innym sołtys musiał pomóc w zakwaterowaniu. Mieszkali do czasu wybudowania sobie domów. Wszyscy mieli ziemię z reformy rolnej.

Co pewien czas przychodził do naszego domu jakiś włóczęga. To był zwyczaj z dawnych lat, który utrzymywał się przez pierwsze pięćdziesiąte. Nazywani byli dziadami. To byli ludzie bezdomni i bez ziemi, najczęściej starzy, niezdolni już do pracy, czasami kalecy albo z widocznymi śladami chorób zewnętrznych, bez jakichkolwiek środków do życia i bez prawa do opieki lekarskiej. Sołtys miał obowiązek znaleźć przybyszowi zakwaterowanie na jedną noc. Zazwyczaj rodziny we wsi przyjmowały kolejno dziadów i zapewniały im nocleg i posiłek wieczorem, rano i w południe. Następnego dnia wędrowcy szli dalej, do najbliższej osady. Wieś była pogodzona z tym obyczajem, który panował od wieków, ale nowa władza dołożyła starań, żeby te wędrówki ludzi wkrótce ustały. Nawet najbiedniejsi dotychczasowi nędzarze zostali w Polsce Ludowej zauważeni i odzyskali ludzką godność.

W maju każdego roku we wsiach odbywały się przy kapliczkach majowe nabożeństwa. Co wieczór przychodzili mieszkańcy, klękali, odmawiali litanię i śpiewali pieśni maryjne. Również w Łazowie gromadzili się mieszkańcy przy kapliczce. Moja mama często jeździła na sesje do gminy a w maju po powrocie była proszona o poprowadzenie majowego nabożeństwa. Religijność na wsi była demonstrowana w latach stalinowskich, tak samo jak we wcześniejszych i jak obecnie, ale zanikły, a w każdym razie zostały bardzo ograniczone, praktyki kołtuńskie, jak różnego rodzaju zabobony, wróżbiarstwo, znachorstwo, egzorcyzmy, itp.

Pozostałością biedy i wojny była gruźlica. Każdego roku

przyjeżdżała na wieś ekipa z aparatem rentgenowskim i wszyscy mieszkańcy musieli stawić się na prześwietlenie płuc. W ten sposób epidemia gruźlicy została po pewnym czasie opanowana. Były też choroby dzieci z powodu niewłaściwej higieny. Do szkoły przyjeżdżała regularnie higienistka.

Ludność nie tylko zyskała dostęp do szkół, ale szerokim frontem na wieś docierała oświata. Prowadzone były różne pogadanki jak pielęgnować niemowlęta i starsze dzieci, jak prawidłowo żywić rodzinę, jak uprawiać wydajniej ziemię itp. Tego rodzaju porady znajdowały się w kalendarzach rolnika jak również na różnych kursach, szkoleniach, w organizowanych na wsiach klubo-kawiarniach i kołach gospodyń wiejskich. Po raz pierwszy w 1950 roku przybyło do Łazowa kino objazdowe. Filmy były oczywiście radzieckie. Pierwszy miał tytuł „Orzeł Kaukazu”.

Były też akcje komiczne. Propaganda ówczesna głosiła, że amerykańscy imperialiści rozrzucili na polach stonkę ziemniaczaną. Uczniowie mieli frajdę, bo zamiast lekcji jeden cały dzień na wiosnę poświęcali na szukanie stonki. Od czasu do czasu przybywali prelegenci, przysyłani przez partię, którzy namawiali chłopów do wstępowania do spółdzielni produkcyjnych. Podlasie było odporne. Nie było prawie chętnych i niewiele spółdzielni powstało. Od 1956 roku już takich akcji nie było a spółdzielnie produkcyjne zostały rozwiązane.

Ze spraw obyczajowych zapamiętałam ostre reakcje środowiska wiejskiego na pojawienie się kobiet w spodniach. Kościół grzmiał, że to niemoralne, że to obraza boska, starsze zacofane kobiety wyszydzały a mężczyźni wyśmiewali się z tych młodych dziewcząt. Chłopcy śpiewali; „Zdejm te spodnie mała, byś po spodniach nie dostała. Zdejm te spodnie mała i sukienkę włóż.”

Od 1953 roku mieszkałam już w Warszawie. Niektóre zdarzenia z tamtych lat utkwiły w sposób szczególny w mojej pamięci. W latach 1953/1954 chodziłam do siódmej (ostatniej) klasy szkoły

podstawowej. Na lekcji języka polskiego przerabialiśmy m.in. „Mendel Gdański” Marii Konopnickiej. Przy tej okazji rozwinęła się ożywiona dyskusja na temat dramatu Żydów w Polsce w czasie okupacji niemieckiej. Nauczycielka (przedwojenna absolwentka polonistyki) powiedziała na zakończenie: „To przecież było jasne, że jak skończą z Żydami, wezmą się za Polaków”. Odebrałam to tak, że dla tej nauczycielki dramat zaczął się dopiero wtedy, kiedy Niemcy zaczęli mordować Polaków. Ja strasznie przeżywałam tragedię Żydów i nie mogłam pojąć takiego stanowiska, a to przecież ja pochodziłam z bardzo zacofanego, antysemickiego Podlasia. W siódmej klasie miałam za zadanie sporządzić jakąś okolicznościową gazetkę szkolną. Posmarowałam ją klejem i bezpośrednio przykleiłam do ściany. Dyrektorka uznała, że nie szanuję mienia państwowego i wyznaczyła mi wysoką karę. Moja koleżanka zachowała się niestosownie wobec kucharki. To było bardzo poważne przewinienie. Musiała przeprosić kucharkę i przez dwa tygodnie nie miała prawa nosić chusty harcerskiej. Wszyscy uczniowie nosili czerwone chusty. W czasach stalinowskich włączano nam do głów w różnych formach (codzienne apele przed lekcjami, capstrzyki, akademie, pogadanki, szkolenia) zasady ówczesnego ustroju: przede wszystkim przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, konieczność walki o pokój, czujność przed zagrożeniami ze strony imperializmu zachodniego ale również wartości, które do dziś uważam za wysoko humanistyczne, czyli szacunek dla prostego człowieka i troska o mienie społeczne (wtedy mówiło się mienie państwowe).

W następnym roku, już w liceum, przerabialiśmy na jednej z lekcji języka polskiego utwory, które obrazowały nędzę chłopów w pańszczyźnianej i międzywojennej Polsce. Nauczycielka, staruszka przeczytała wiersz Władysława Syrokomli „Lalka” a później bardzo przejętym głosem zaczęła nam opisywać własne przeżycia i spostrzeżenia z całkiem nieodległych lat, bo kilkanaście lat przed wojną. Była guwernantką dla dzieci arystokracji. Na powitanie pani domu podawała jej z pogardą tylko końce palców. Ta polonistka mówiła wtedy do nas:

„Dzieci, nie macie pojęcia, jakie macie szczęście, że przyszło wam żyć w Polsce Ludowej. Jesteście wszyscy równi i wszyscy macie jednakowe prawo do nauki”. My nie umieliśmy sobie tego wyobrazić: gruntownie wykształconej nauczycielce podaje kołtunka z wyższych sfer koniuszki palców.

Dla nas RÓWNOŚĆ była czymś tak oczywistym, jak powietrze.

W klasie było około trzydziścioro uczniów: była córka dyrektora z Ministerstwa Kultury i Sztuki, córka kierownika Spółdzielni Produkcyjnej, syn oficera Ludowego Wojska Polskiego, Żydówka, przygarnięta przez małżeństwo – przedwojennego pułkownika i jego żonę po ukończeniu przed wojną pensji dla dziewcząt, była córka sekretarki, syn dyrektora kolei państwowych, moja mama była ekspedientką w sklepie, była córka nauczycielki muzyki, córka taksówkarza, była sierota, która po maturze wstąpiła do zakonu (wychowywała ją macocha, pracująca w fabryce Świerczewskiego), była koleżanka, której ojczym był ochroniarzem Bieruta, były dziewczynki z rodzin rzemieślników i dwie córki handlarek na bazarze.

Komunizm w Polsce był bardzo przewrotny, a nawet komiczny. Klasa rządząca tzn. rodziny robotnicze, chłopskie i inteligencji pracującej żyły bardzo skromnie, natomiast hulała prywatna inicjatywa. Należeli do niej m.in. tzw. badyłarze, sałaciarze, handlarze, rzemieślnicy, prywatni taksówkarze. Właśnie uczennice z rodzin należących do prywatnej inicjatywy były w porównaniu z nami wszystkimi bardzo zamożne. Niezależnie od statusu materialnego wszystkie uczennice chodziły w granatowych fartuszkach z białymi kołnierzykami i one też nie miały możliwości zademonstrować w szkole swojej uprzywilejowanej pozycji. Nie było znane również pojęcie korepetycji. W szkole kolejni nauczyciele pełnili dyżury po lekcjach, prowadzili różne kółka zainteresowań a dodatkowo można było poprosić o pomoc nauczyciela lub lepszego ucznia.

To była dobra szkoła. Już w wieku siedemnastu lat byłam na

wydziale matematyki i fizyki Uniwersytetu Warszawskiego i nie były mi potrzebne żadne dodatkowe lekcje przygotowawcze. Gdyby nie mój bardzo ciężki wypadek samochodowy na trzecim roku studiów, już w wieku 22 lat miałabym dyplom uniwersytetu.

Kiedy potrzebowałam udokumentować znajomość języka rosyjskiego w mojej późniejszej pracy w handlu zagranicznym, również bez dodatkowych kursów zdałam egzamin państwowy. Nawet dzisiaj mogę wyrecytować np. „Odeę do Młodości” A. Mickiewicza, „Aurea Aetas” Owidiusza, fragmenty „Oniegina” A. Puszkina, i jeszcze wiele innych wierszy, w tym poezji rewolucyjnej charakterystycznej dla tamtych czasów. Z wiersza „Lalka” W. Syrokomli, omawianego na wyżej wspomnianej lekcji pamiętam kilka zwrotek:

„Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy, ładnie mi się ukloni i uszko nachyli,

A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy, jak mi rodzice mówili.

W święto mama mię w nową sukienkę ubierze i różową przepaskę zawiąże u czoła,

Ja wtedy będę umieć francuskie pacierze i pojedziem do kościoła.

Toż to będzie się dziwić prostaków gromada! Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa

Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada, czy to ja chłopka wioskowa?

Tylko ty tego nie wiesz – że my – to panowie, A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,

Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie, by pracowali na pany.

Brudne, brzydkie, pijane – czysto jak nędzarze W poszarpanych siermięgach ledwo włóczą ducha

Lecz sami sobie winni, to Bozia ich karze, że chłopstwo papy nie słucha.

Ot i wczora... gdy papa zasnął po obiedzie, Pytam się – czy to pięknie i co za potrzeba,

Weszli – zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie: Chleba panoczek! Daj chleba...”

Te sprawy nie były mi obce. Trochę więcej wiedziałam od moich warszawskich koleżanek o doli ludu wiejskiego i pogardy panów dla tego ludu przed wojną.

Jedna z koleżanek w szkole w Łazowie była córką byłej służącej we dworze u kilku kolejnych dziedziców. Koleżanka już tego nie wiedziała, ale jej starszy brat opowiadał, że byli bardzo biedni. Z niecierpliwością czekali na mamę, która czasami przynosiła kilka kromek chleba z pańskiego stołu. W latach 1950. na wsi nie opłacało się wypiekać chleba. Był tak tani, że wszyscy kupowali w spółdzielni. Słyszałam nawet takie rozmowy, że cena chleba powinna być wyższa, bo niektórzy rolnicy karmią chlebem konie.

W majątku w Łazowie był po pierwszej wojnie światowej taki dziedzic, który najstarszych pracowników folwarcznych kierował do obsługi bardzo niebezpiecznego buhaja. Po kilku miesiącach ten parobek już nie żył a dziedzic nie musiał wypłacać mu renty, którą nabył za wieloletnią pracę w folwarku. W ten sposób zginęło trzech starych mężczyzn we wsi.

Bardzo przejmującą historię opowiadała moja mama, która ukończyła szkołę rolniczą dla dziewcząt w Albigowej w woj. rzeszowskim. Szkoła mieściła się w dobrach Potockich. Mama miała okazję zaobserwować zarówno niektóre sceny z życia hrabiów jak i chłopów. Opowiadała, że każdego wieczoru matka hrabiego wychodziła na dziedziniec, gdzie czekała na nią orkiestra i grała wielmożnej pani przed snem.

Mama widziała również pracę kobiet u hrabiego. Na polu przy burakach pracowały od świtu do nocy a hrabia na zakończenie płacił liśćmi z buraków, tzn. za całą pracę kobieta otrzymywała jedną trzecią objętości liści z buraków, które wykopała, przeniosła i obciąła.

Niedawno oglądałam w telewizji program, w którym przewodniczka

wycieczki a może kustoszka muzeum w Łańcucie opowiadała o wyjeździe hrabiego Alfreda Potockiego z Łańcuta. Podkreślała, jak wielkim był patriotą i jak bardzo musiał kochać Polskę, bo świadkowie jego wyjazdu widzieli w jego oczach łzy. Ja wiem, że uciekał przed rewolucją społeczną, która niewątpliwie by go dosięgła i że wywiózł wiele wagonów różnego rodzaju dóbr z posiadłości w Łańcucie. Nie zastanawiałabym się nad łzami tego wielmoży natomiast wyobrażam sobie łzy dzieci, które czekały na mamę po pracy i które musiały żuć liście buraczane, bo to była cała zapłata za pracę.

W latach stalinizmu o polityce można było rozmawiać tylko w zaufanym gronie. Nie wolno było w ogóle wymawiać takich słów, jak partyzanci, AK, Szare Szeregi, Powstanie Warszawskie.

W pieśni „Nie szumcie wierzby nam...” słowa „bo w partyzantce nie jest źle” były zastępowane zwrotem „bo na wojence nie jest źle”. O AK ostrożnie mówił ksiądz, do którego chodziliśmy na katechezę. Wyjaśnił nam, że jeśli będzie przesłuchiwany powie, że AK to znaczy „Akcja Katolicka”. O Szarych Szeregach nie wiedziałam nic. Koleżanki zabierały mnie na cmentarze. One wiedziały, gdzie są mogiły młodzieży harcerskiej i tam zapalałyśmy lampki. O Powstaniu wiedziałam tylko tyle, że Łuna nad płonącą Warszawą była widoczna na mojej wsi a to było 120 km od stolicy. Pomagałam kiedyś jednej z koleżanek w lekcjach u niej w domu. Kiedy jej mama dowiedziała się, że jestem z prowincji, zaczęła gorzko komentować chciwość i bezwzględność ludzi ze wsi, przywożących do walczącego miasta podstawowe produkty. Mówiła, że za bochenek chleba i osełkę masła warszawianki oddawały złotą biżuterię, ślubne obrączki. Jak mało wtedy wieś wiedziała o sytuacji w walczącej stolicy, ale również warszawiacy mieli słabe pojęcie o życiu na wsi w czasie okupacji. Niemcy przez cały czas zabierali młodych ludzi na roboty do Niemiec, konie i krowy dla swojej armii, ale podczas ucieczki przed Armią Czerwoną w 1944 roku zabierali wszystko, co znaleźli w gospodarstwach.

Opowiadał mi jeden z mieszkańców Łazowa, jak kiedyś złapał go

Niemiec (Niemcy mieli w czasie okupacji w kilku domach na wsi swoje kuchnie) i zażądał, żeby on przyniósł mu kilka jajek. Chłopiec miał dziesięć lat. Próbował wytłumaczyć, że nie ma takiej możliwości, wtedy Niemiec spuścił go głową do studni i tak długo trzymał za nogi, aż chłopak przyrzekł, że jajka przyniesie. Musiał uciec po tym incydencie do swojej babci na inną wieś, bo bał się, że Niemiec go utopi. Powiedział mi: Skąd ja miałem wziąć jajka? My żywiliśmy się cebulą, lebiodą i szczawiem”.

Autorstwo: Krystyna Badurka

Zdjęcie: Gerald Howson

Źródło: ObserwatorPolityczny.pl